

[w:] *Literatura i różnorodność. Kresy i pogranicza*. Eugeniusz Czaplejewicz: *Królestwo różnorodności*, Edward Kasperski: *Teoria i literatura w sytuacji ponowoczesności*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 1996, ISBN 83-85490-63-9, s. 133-140

## 5. ĆWICZENIE Z DEKONSTRUKCJI. CZY INTERPRETACJI JEST ZBYT WIELE I CZY NALEŻY OGRANICZYĆ ICH RÓŻNORODNOŚĆ?

Postmodernizm spotęgował kryzys interpretacji także w nauce o literaturze, nie tylko w krytyce literackiej i dziedzinach z nią spokrewnionych lub ideowo jej bliskich. Zataił (czy też jedynie osłabił) różnice między krytyką i literaturą, ale też podobnie postąpił z nauką. Zbliżył („zniżył”) ją do nich obu. W nauce odsłonił penetrujące ją od wewnątrz i współokreślające dyskursy krytyczne i literackie (artystyczne), zaś w literaturze — zdolność wchłaniania i asymilowania przez nią dyskursów krytycznych i naukowych. Marzenie o *splendid isolation* którejkolwiek z tych praktyk okazało się na wyrost, niezgodne z ich zachowaniem faktycznym: jawnym czy potajemnym obcowaniem ze sobą.

Demaskacje te przyniosły, jak można się było tego spodziewać, oplakane (ze stanowiska *status quo* i tradycji) skutki. Pielęgnowane przez dekady i stulecia wyobrażenia o „czystej literackości”, autotelicznej „funkcji krytycznej” i „czystej naukowości” okazały się w następstwie postmodernistycznej krytyki weksłami bez pokrycia. Krytyka ta zachwiała pozytywistyczno-strukturalistyczną koncepcją przedmiotu nauki o literaturze, sposobu i celu poznania, języka i dyskursu naukowego. Zachwiała przede wszystkim wiarą, znamionującą nie tylko wspomniane kierunki, w możliwość formułowania sądów poznawczych prawdziwych i sprawdzalnych, tym samym w możliwość rozstrzygania sporów interpretacyjnych. Ten cios był szczególnie dotkliwy. Postawił pod znakiem zapytania naukowość humanistyki.

Próby zaradzenia sytuacji podjęto z różnych stanowisk. W Polsce za jedną ze znamienitych propozycji — symptomatycznych, ale nie znaczących do zaakceptowania — wypada uznać szkic Ryszarda Nycza *Teoria interpretacji: problem pluralizmu*. Załamanie się „obiektywnego znaczenia tekstu (tj. znaczenia jako obiektu)” oraz „legitymizacji własnych poczynań przez teorię” (której status metajęzykowy zakwestionowano) doprowadziło, zdaniem krytyka, do „dogmatycznego sceptycyzmu”<sup>1</sup>, gloryfikującego w teorii i w praktyce nieograniczony „pluralizm interpretacji”. Głównym argumentem na rzecz tego ostatniego stały się w ocenie krytyka rozpowszechnione w nowszej literaturze zjawiska

---

<sup>1</sup> R. Nycz, *Tekstowy świat. Poststrukturalizm a wiedza o literaturze*, wyd. 2, Warszawa 1995, s. 90.

„niejednoznaczności” (do tej ostatniej zaliczył on „wielowykładalność, alternatywność, nierozstrzygalność” znaczeń w interpretowanym tekście), uzasadniające pogląd, iż jedna jedyna interpretacja tekstu literackiego jest niemożliwa i że w konsekwencji wszystkie interpretacje są równoprawne. To z kolei złożyło się na wspomnianą już doktrynę pluralizmu interpretacyjnego, potępioną przez Nycza jako „dogmatyczny sceptycyzm”.

Dogmatyczni pluraliści są w tym ujęciu, jak wynikałoby to z prezentowanego wywodu, „sceptykami”, ponieważ nie wierzą w „obiektywne znaczenie tekstu”, zaś z kolei „dogmatykami” są dlatego, iż wierzą w nieograniczoną wielość i różnorodność interpretacji. Konkluzja wywodu jest zatem taka, iż dogmatyczny sceptycyzm w sposób nieuprawniony rozszerza zakres pluralizmu w dziedzinie interpretacji. Konkluzja ta w rezultacie postuluje — w sposób zresztą daleki od jakiegokolwiek agitacyjnej kategoryczności — ograniczenie pluralizmu<sup>2</sup>, tj. ograniczenie wielości i różnorodności interpretacji. Tłem wywodu jest kryzys interpretacji, można zatem prawomocnie wnioskować, iż ograniczenie pluralizmu spowoduje triumf obiektywizmu i wyjście z dekonstrukcjonistyczno-postmodernistycznego kryzysu. Dokąd to „wyjście z” miałyby zaprowadzić, to już odrębny temat.

Idea ograniczenia pluralizmu otrzymała rozbudowaną i szczegółową argumentację. Krytyk powołał się i na autorytety (dowód z autorytetu należy w dyskursie Nycza do koronnych), i na racje rzeczowe. Jeden z argumentów stwierdzał na przykład, iż sam J. Derrida „odżegnuje się zdecydowanie od radykalnej wersji pluralizmu interpretacyjnego”<sup>3</sup>. Główny argument głosił jednak, iż „odmiany niejednoznaczności” cechują się „nie tylko względną stałością swych cech i ich uzasadnienia w obrębie określonej historycznej poetyki, lecz również względną niezależnością od metod badania, jak też od semiotycznego materiału, w którym są artykułowane”<sup>4</sup>. To właśnie „niejednoznaczność” uznano tu za zjawisko „obiektywne”,

---

<sup>2</sup> Ibid., s. 120. Oto postulat Nycza w dosłownym brzmieniu: „(...) teoretycznie akceptowalne, jak również operacyjnie owocne, wydaje się przyjęcie ograniczonego pluralizmu (spacja należy do R. Nycza — E. K.), w proponowanym tu znaczeniu. Jest on ograniczony głównie przez typy zróżnicowań semantycznej organizacji — pojawiających się w tekstach pewnego typu, właściwych określonej poetyce, nurtowi, historycznej i estetycznej wrażliwości”.

<sup>3</sup> Ibid., s. 91. Zob. także przypis 38 autora na s. 116-118, który zresztą nie potwierdza oceny prezentowanej na s. 91 i wskazuje (co najmniej) na wahanie się Derridy w tej sprawie. Problem tzw. nierozstrzygalności znaczeń zasługuje na osobne omówienie. Nycza wykładnia tego problemu jest nieprzekonywująca, tendencyjna.

<sup>4</sup> Ibid., s. 118. Cytat ten w sposób jaskrawy uwydatnia obiektywistyczny sposób myślenia i argumentowania Nycza. Jeśli hipostazowane przez Nycza „odmiany niejednoznaczności” są „względnie niezależne” od „metod badania” i od „semiotycznego materiału, w którym są artykułowane”, to jak w ogóle są one poznawalne? Jak istnieją? Problematyka „znaczenia” jest najsłabszym punktem w rozważaniach Nycza, choć na żonglerce słowem „znaczenie” opiera cały swój wywód i wnioski.

stabilizujące tekst i ograniczające interpretacje. „Obiektywna niejednoznaczność” stała się, by tak rzec, maczugą na pluralizm.

Pluralizm interpretacji jest zbyt poważną sprawą, by poprzestać na zreferowaniu poglądu jednego z wielu wypowiadających się na ten temat badaczy, formułującego niepokojący wniosek. Warto bliżej przyjrzeć się rozumowaniu, które do niego przywiódło. Odsłania ono niektóre punkty krytyczne współczesnej refleksji o literaturze, wykraczające poza indywidualny przypadek Nycza. Wypada odnieść się do niego niczym do *exemplum*, przez które przemawia ogół, duch czasu.

Źródło nieporozumień zdaje się tkwić już w samych pytaniach, które formułuje Nycz i które prowadzą do zaskakujących merytorycznie odpowiedzi. Do podstawowych zalicza on bowiem pytania: „co stanowi i gdzie znajduje się czynnik decydujący o stabilizacji znaczenia (w semantycznej organizacji tekstu czy w zasadach odczytywania, podzielanych w danym kręgu odbiorców) oraz co, wobec kryzysu dotychczasowych uprawomocnień zapewnia akceptowalność krytycznym poczynaniom”<sup>5</sup>. Otóż wątpliwości wywołują i składniki tych pytań, i ich kompozycja, sposób zestawienia i łączenia ze sobą. Na pierwszy plan wysuwa się „stabilizacja znaczenia”. O jaką stabilizację tu idzie? W jakiej dziedzinie ma ona się dokonywać? Komu wreszcie i do czego owa „stabilizacja znaczenia” jest potrzebna? Ideał stabilizacji znaczenia był ongiś postulatem pozytywistycznej *general semantics*, zaś w sferze myśli społecznej pociągał ideologie totalitarne, systemy autorytarne i konserwatywne. Na polu kultury sankcjonował istnienie i funkcjonowanie mitu. Ideał stabilizacji znaczenia z samej swej istoty zdaje się być restrykcyjny, ograniczający, gdyż sprzeciwia się „nieokiełznanej” produktywności znaczeń, ich spontaniczności i nieobliczalności. Pragnie ujarzmić „znaczenie na wolności”, poddać je kontroli (czyjej?), „ograniczyć” (w imię czego?). Pytanie: „co stanowi i gdzie znajduje się czynnik decydujący o stabilizacji znaczenia” jest trafne, ale wcale nie w takiej intencji i nie w takim sensie, w jakim stawia je Nycz. Trafne jest natomiast w tej mierze, w jakiej odsłania niemożliwy do urzeczywistnienia i uzurpatorski charakter projektu „stabilizowania znaczeń”, „kontroli” oraz „ograniczania” ich pluralizmu.

Ideał „stabilizacji znaczenia” praktykowano także w krytyce i nauce o literaturze w całkiem nieodległej przeszłości dzieląc teksty literackie na „postępowe” i „wsteczne”, ale, jak wiadomo, pożytku z tego rodzaju stabilizacji — dokonywanej, a jakże, najusilniej „obiektywnie” — nie było. Nycz zdaje się milcząco przyjmować, iż stabilizacja znaczeń jest sama przez się czymś pożądanym, uznaje to za oczywistość. Problemem staje się

---

<sup>5</sup> Ibid., s. 94.

natomiast to, czy usztywnienie (utrwalanie) znaczeń ma odbywać się „w semantycznej organizacji tekstu”, czy też przeciwnie, „w zasadach odczytywania, podzielanych w danym kręgu odbiorców”. Jednakże rozłączność typu „czy jedno, czy drugie” jest tu sztuczna, wydumana. Można bowiem znaczeniom, które chce się utrwalić w tekście i zakomunikować, nadać różne kształty tekstowe (modyfikując zarazem samo znaczenie). Można też dany tekst — choćby omawiane przez Nycza przykłady utworów Leśmiana, Różewicza i Karpowicza — odczytywać na różne sposoby. Nie można natomiast dokonywać sensownie wyboru między „odczytywaniem” a tym, co stanowi jego przedmiot, czyli tekstem. „Odczytywanie”, które niczego nie czyta, jest puste, podobnie jak pozostaje bezmowną „semantyczna organizacja tekstu”, której nikt nie sporządza i która istnieje niczym Kantowska „rzecz w sobie”. Przed zapoznaniem się z tym, co według wstępnego domniemania ma być „tekstem” po prostu nie wiemy, czy będzie to „semantyczna organizacja”, czy przeciwnie, raczej „dezorganizacja”.

Tekst i jego czytanie są, jak to wiele już razy mówiono, pojęciami komplementarnymi, zaś rozrywanie tej komplementarności prowadzi do gmatwaniny, której *Tekstowy świat*, niestety, dostarcza licznych przykładów. Główną jej przyczyną jest to, iż Nycz ujmuje tekst, lekturę oraz interpretację, po pierwsze, w izolacji od siebie (podczas gdy faktycznie występują one zawsze w powiązaniu ze sobą), po drugie, odrywa je od procesów komunikacji, w których one uczestniczą, po trzecie, upatruje w nich twory gotowe, zreifikowane, mimo iż ich „zakrzepła faktyczność” z perspektywy semiosis i komunikacji jest czymś pozornym, zasłaniającym rzeczywistą interakcję, której są ogniwami.

Na osobną uwagę zasługuje uwikłany w rozważania o pluralizmie interpretacji problem jej tzw. akceptowalności, który zresztą w niektórych kontekstach pokrywa się ze stabilizacją znaczeń: stabilne znaczenia to te, które są akceptowane przez „krąg odbiorców”, zaś znaczenia akceptowane są *eo ipso* stabilne. Nie widać u Nycza próby rozgraniczenia problemu stabilizacji znaczeń od ich „akceptowalności”. Toteż pytanie „czy o stabilizacji znaczenia decydują zasady odczytywania, podzielane w danym kręgu odbiorców” ma z tego punktu widzenia charakter tautologiczny. Semantycznie sprowadza się ono do pytania „czy o stabilizacji znaczenia decydują zasady stabilizacji znaczenia”.

Figura tautologii rządzi zresztą całością omawianego dyskursu. Uzasadnia ją reguła, iż „oryginalność polega na tym, by w starym i znanym znaleźć rzecz nową”<sup>6</sup>. W praktyce dyskursu wyraża się ona bądź to w prezentacji (aktualizacji) czegoś „starego i znanego” jako rzeczy „nowej”, bądź to odwrotnie, w prezentacji rzeczy rzeczywiście nowych zgodnie z maksymą „nic nowego pod słońcem”. Porządek, konkluzja i konstruowanie ideologicznego

---

<sup>6</sup> Ibid., s. 5-6.

*continuum* należą do spraw w dyskursie tym naczelných. Znamienne, że nawet w rozdziale *Teoria interpretacji* jego kompozycja zamyka się podrozdziałkiem zatytułowanym *Konkluzje*. Definitywność stanowi wierzchołek *episteme* Nycza. W rozważaniach poświęconych dekonstrukcjonizmowi ten typ dyskursu zamienia się w niezamierzoną parodię przedmiotu, o którym rozprawia.

Dążenia do konkluzji nie chronią jednak tego dyskursu przed katastrofalną dlań (z punktu widzenia jego wewnętrznej logiki) nierozstrzygalnością kwestii, które podejmuje i które z mozołem stara się rozwiązywać. Tak też dzieje się z drugim w kolejności „podstawowych pytań”: „co, wobec kryzysu dotychczasowych uprawomocnień, zapewnia akceptowalność krytycznym poczynaniom”. W pytaniu tym uderza nieumotywowany logicznie przeskok od problemu „uprawomocnień” do „akceptowalności”. Co mają ze sobą wspólnego obie te kwestie? Jeśli bowiem załamały się uprawomocnienia dotychczasowe, to należałoby chyba poszukiwać uprawomocnień od dotychczasowych silniejszych i bardziej wiarygodnych. Jeśli w roli tej zawiodły teorie, należy je udoskonalić. Jeśli kryzys uprawomocnień wynika z praktyki, to drogą uzyskania uprawomocnień jest stosowna zmiana praktyki. Kryzys powstaje z występujących w nich luk, likwidacją kryzysu bywa ich usunięcie. Tymczasem Nycz wykonuje *salto mortale* z dziedziny prawomocności w dziedzinę akceptowalności. Tą pierwszą rządzi wiedza przedmiotowa i reguły logiki, tą drugą — czynniki natury psychologicznej i socjologicznej. Z braku akceptacji przez uczniów nauki geometrii nie wynika wniosek, iż, dajmy na to, twierdzenie Pitagorasa jest „nieprawomocne”. I odwrotnie. Z głębokiego przekonania części uczniów, iż główny bohater *Nocy i dni* nazywał się Wokulski, nie wynika bynajmniej, iż — mimo szerokiej nawet akceptacji tego sądu w odnośnym „kręgu odbiorców” — jest on poznawczo prawomocny. Innymi słowy, poznawcza prawomocność interpretacji wobec tekstu podlega w ostatniej instancji kryteriom merytorycznym (wiedzy i procedurom filologicznym), zaś akceptowalność — gustom. Mieszanie tych kwestii nie powinno mieć miejsca.

Wszystko to rzutuje na rozstrzygnięcie problemu interpretacji i pluralizmu. W szerokim rozumieniu pluralizm oznacza przyznanie każdemu podmiotowi (każdemu, bez względu na jego formalne i merytoryczne kwalifikacje) prawa do swobodnego wyboru zainteresowań czytelniczych, sposobu lektury i ewentualnie strategii interpretacyjnych, zaś w ich obrębie — do ich swobodnych zastosowań i modyfikacji. Tym samym wyklucza on działania dyskryminujące, polegające na narzucaniu własnej „teorii lektury”, metody interpretacyjnej lub wykładni tekstu innym; słowem, wyklucza lekturowo-interpretacyjny prozelityzm. To samo dotyczy ograniczania inicjatywy interpretacyjnej lub sposobu obcowania z tekstem i

jego wykładni. Ograniczenia takie nie mieszczą się ani w logice, ani w etosie pluralizmu. Jedną z konsekwencji tak rozumianego stanowiska pluralistycznego jest zatem postawa samoograniczania się w tym, co dotyczy chęci i praktyki podporządkowania sobie innych. Pluralizm nie jest zatem „zgniłym liberalizmem” ani „wyuzdanym permissywizmem”. Zawiera w istocie rzeczy pierwiastki powinnościowe i dyscyplinujące. Akcent pada w nim jednak na samoograniczenia, nie zaś na „kontrolowanie” lub „ograniczanie” wielości i różnorodności interpretacji. Pluralizm w przywołanym rozumieniu poddaje w szczególności w wątpliwość istnienie sensownych racji i tytułów dla tych ostatnich, podobnie jak zwraca też uwagę na ich ujemne następstwa.

Czym innym jest jednak podmiotowe prawo do swobodnej lektury i wykładni tekstu, czym innym zaś przedmiotowa zasadność interpretacji, jej umocowanie w tekście interpretowanym. Niewątpliwie Nyczowi chodziło przede wszystkim o to ostatnie, jednakże nieszczęśliwe pomieszenie tej kwestii z podmiotową akceptowalnością i pluralizmem spowodowało galimatias nie do rozwikłania i zrodziło postulat „ograniczenia pluralizmu”. Tymczasem z powszechnie zauważanego faktu, iż nie wszystkie interpretacje są równie zasadne i umocowane w interpretowanym tekście nie wynika bynajmniej wniosek, iż należy ograniczyć wielość i różnorodność interpretacji w rozumieniu podmiotowym. Kryteria zasadności interpretacji i jej umocowania w tekście stosują się do każdej bez wyjątku i zawieszają w tym względzie problem atrybucji interpretacji. Tam, gdzie pojawia się jakieś twierdzenie o tekście aspirujące do prawdziwości i obowiązywalności w tym względzie, tam autorstwo nie ma znaczenia (co nie znaczy jednak, że autorstwo nie ma w ogóle znaczenia — zawieszeniu ulega ono jedynie ze względu na przedmiotowy charakter pytania). Nie ma tu zatem nic do rzeczy, czy twierdzenie pochodzi od znawcy, czy profana, od badacza specjalisty, czy od nieprofesjonalisty. Nikt personalnie nie ma monopolu na trafność (prawdziwość) takich twierdzeń — przed ich weryfikacją. Profesjoniści i specjaliści klasy Juliana Klaczko *Promethidiona* Norwida zinterpretowali jako „androny”, ale czy miałyby to oznaczać, iż osąd ten nie podlega weryfikacji i rewizji? Przedmiotowe umocowanie interpretacji w tekście, jej trafność, prawdziwość, głębia, odkrywczość to zatem, powtórzmy raz jeszcze, nie to samo, co podmiotowa akceptowalność. Pomieszenie jednego z drugim zamienia dyskurs naukowy lub krytyczny w sofistykę.

Jeśli pragnie się eliminować nadużycia interpretacyjne — a taka jest chyba szczytna skądinąd intencja Nycza — to drogą ku temu nie jest ograniczanie pluralizmu. Drogą tą zdaje się być refleksja nad trafnością interpretacji, wydobywanie w nich uchybień, kształtowanie partnerskiego stosunku do tekstu, wrażliwość na etykę egzegezy. Pluralizm natomiast, ogólnie

rzecz biorąc, prawie zawsze służy wszechstronnemu i dogłębnemu odczytaniu utworu. Jego ograniczenia działają zwykle na szkodę, rzadko na pożytek interpretacji. Pluralizm stanowi bowiem główny warunek i czynnik „plenienia się” znaczeń, ich „rozproszenia”, posiewu. W tym rozumieniu przyczynia się do bogactwa kultury literackiej. Ograniczanie tego bogactwa — płodności i plenienia się — poprzez program „stabilizacji znaczeń” oraz „ograniczenia pluralizmu” jest chyba ideą opaczną.

Przyczyną nieporozumień wydaje się to, iż krytyk — raczej mimowolnie niż z rozmyślnego wyboru — zamyka własne poszukiwania w polu dylematu „albo każdy tekst może być poprawnie zinterpretowany w jeden i tylko jeden sposób, albo każda interpretacja jest tak dobra (zła), jak jakakolwiek inna”<sup>7</sup>. Zaskakujące, iż Nycz ocenia powyższy dylemat jako „fałszywy” i „skrajny”, a mimo to nie decyduje się na porzucenie go całkowite, lecz usiłuje go jedynie skorygować, ulepszyć, „znaleźć kompromis” między ekstremami. Mając do czynienia z twierdzeniem „każdy tekst może być zinterpretowany w jeden i tylko jeden sposób”, Nycz nie podważa bynajmniej jego obiektywistycznych założeń. Nie podejmuje narzucającego się tu pytania, kiedy, w jakich okolicznościach jest możliwa „jedna i tylko jedna interpretacja danego tekstu”. Tymczasem pytanie to jest tutaj kluczowe, próba udzielenia nań odpowiedzi ukazuje tautologiczny charakter powyższego twierdzenia. „Jedna i tylko jedna interpretacja” zakłada bowiem tożsamość kodu zrealizowanego w tekście oraz kodu interpretatora. Żąda ona następnie zniwelowania wszelkich dystansów chronotopicznych i różnic kulturowych między tekstem i jego interpretacją. Żąda więc dotrzymania warunków, których dotrzymanie jest w oczywisty sposób (na padole doczesnym, dla egzystencji historycznej) niemożliwe. „Jedna i tylko jedna poprawna interpretacja” tekstu literackiego jest więc możliwa wtedy i tylko wtedy, kiedy żadnej drugiej interpretacji nie ma, nie było i nie będzie. O czasie przyszłym rozstrzygają jednak instancje nadprzyrodzone, a zatem należy milczeć o tym, czego się nie wie.

Warunku sensowności nie spełnia także twierdzenie drugie, głoszące, iż „każda interpretacja tekstu jest tak dobra (zła), jak jakakolwiek inna”. Już pierwszy rzut oka upewnia, iż jest to sąd wartościujący, nie zaś poznawczy. Jako sąd wartościujący podpada pod klauzulę *de gustibus non disputandum*. Z kolei jego forma ogólna („każda interpretacja...”) wskazuje, iż ma ono charakter przesądu, który umyka wszelkiej, choćby najskromniejszej,

---

<sup>7</sup> Ibid., s. 120. Dylemat ten stanowi formalnie element przesłanki motywującej „przyjęcie ograniczonego pluralizmu” (por. przypis 2). Między przesłanką a wnioskiem nie ma u Nycza stosunku logicznego wynikania. Tok myślenia prezentowany w *Teorii interpretacji* jest chaotyczny, zaś związki między twierdzeniami są na ogół przypadkowe. Przykładem sofistyki może być twierdzenie, iż „(...) w praktyce interpretacyjnej żadna postać pluralizmu, skrajnie relatywizująca własne poczynania analityczne, nie może faktycznie mieć miejsca” (s. 120).

racjonalności. Zakłada ono istnienie na ziemi istoty, która dokonuje porównania wszystkich interpretacji przeszłych, teraźniejszych i przyszłych (bo skąd niby ma brać się wiedza o tym, że wszystkie interpretacje są sobie równe?). Z tego, co dziś wiadomo o człowieku, istota ludzka nie jest w stanie sprostać stawianym jej w twierdzeniu wymaganiom. Są na miarę istoty boskiej. Tylko że w jakim celu miałyby ona zajmować się interpretacją?

Również powyższe twierdzenie jest ukrytą tautologią. Jego podstawową treścią jest bowiem to, iż każda interpretacja jest równa sobie samej. Z twierdzenia, iż coś jest sobie równe, może wynikać jedynie to, że „każde coś jest równe sobie samemu”, ale nie to, że jest równe drugiemu „czemuś”.

Twierdzenie pierwsze domaga się, rzecz jasna, interpretacji nie byle jakiej, lecz jedynie „poprawnej”. Kryterium poprawności głosi natomiast, że poprawną będzie taka, która będzie „jedna i tylko jedna”. Kryterium to — zgodnie z wcześniejszą analizą twierdzenia — domaga się tedy uniezależnienia tekstu od subiektywności (osobowości) interpretatora, zatarcia jego indywidualności, zaniechania przezeń oddziaływania na tekst.

Jedyne, co wchodzi w grę, to, zgodnie z ideałem obiektywistycznym, wierne, lustrzane skopiowanie tekstu, „skserowanie” go w świadomości i zapisie interpretatora. Wszelka inicjatywa oraz indywidualizacja ze strony tego ostatniego łamałaby zasadę „jednej i tylko jednej poprawnej interpretacji”. Trzeba jednak zauważyć, iż żądanie lustrzanego odbicia tekstu przekreśla sens interpretacji. Jest ona bowiem z definicji stosunkiem do tekstu „kogoś trzeciego”, wyrazem jego języka, wiedzy, osobistych kompetencji, zainteresowań, uzdolnień, wykształcenia itd., a z kolei za stosunek taki nie można uważać czegoś, co, paradoksalnie, ma przejawiać się właśnie w jego braku, tj. w neutralności interpretatora, w jego „zniknięciu” jako instancji osobowej, samodzielnej, odrębnej. Obiektywistyczna koncepcja zaprzecza tu samej sobie.

Ciekawe, że za taką właśnie obiektywistyczną — w szczegółach nieco zmodyfikowaną — koncepcją opowiada się ostatecznie Nycz. „Nowe” w jego propozycji — to rozciągnięcie zasady obiektywizmu na przypadki nazwane przez niego „niejednoznacznością”. Ta ostatnia obejmuje także dekonstrukcjonistyczną „nierozstrzygalność znaczeń”. Imperium obiektywizmu nie doznało zatem — wbrew temu, co niekiedy zdaje się sugerować autor — żadnego istotnego uszczerbku. Przeciwnie, poszerzyło swoje dominia o kolejne zdobyczne tereny. Do idei znaczenia jako „obiekту uprzedniego i niezależnego od jego interpretacji” oraz „jako własności”<sup>8</sup> Nycz dołączył różne odmiany „niejednoznaczności”. Metafizyka pozytywistyczno-strukturalistyczna wchłonęła w ten sposób nawet dekonstrukcjonizm (dzięki

---

<sup>8</sup> Ibid., s. 88.



wspomnianemu sprowadzeniu go do niejednoznaczności i przemianie tej ostatniej w obiektywność). Odpowiednikiem reguły wyszukiwania nowego w starym okazało się tu wyszukiwanie starego w nowym.

Główna zasada dyskursu metafizycznego — zasada tożsamości — w obu tych wypadkach została zachowana ze wszelką należną jej starannością. Również paradygmat podmiot — przedmiot utrzymał się w dyskursie Nycza w postaci trwałej dychotomii interpretator — tekst. Nie zmieniły się w nim idea transparencji „przedmiotu dla podmiotu” oraz świadomości badawczej dla siebie samej. Nycz, zgodnie z tradycją obiektywistyczną, z góry założył ich pełną przezroczystość, wzajemną bezkonfliktowość i współmierność (jednorodność). Umożliwiło to przyjęcie wspomnianej uprzednio koncepcji znaczenia jako obiektu i jako jego własności, tj. zamianę znaczenia w rodzaj substancji, jego uprzedmiotowienie, znieruchomienie w postaci faktyczno-rzeczowej. Podobny los spotkał zresztą także niejednoznaczność. Nycz przede wszystkim zachował typową dla obiektywizmu koncepcję interpretacji: jako poznania, uzyskiwania wiedzy o tekście. Rozpłynęła się w niej bez reszty dekonstrukcyjno-postmodernistyczna „gra”, „zabawa”. Ostała się natomiast — nie mogło być inaczej — metafizyka obecności. Ostał się także jej sobowtór — logocentryzm, ze wszystkimi tego ostania się konsekwencjami. Inaczej mówiąc, w dyskursie Nycza „poziom epistemologiczny” formalnie zdominował i pochłonął „poziom egzystencjalny”. *Ordnung muss sein*. Do ordynku uszykowały się nawet postacie „niejednoznaczności”, łącznie ze zbuntowaną przeciw metafizycznemu porządkowi „nierozstrzygalnością znaczeń”. Niesubordynacji metafizyka po prostu nie toleruje.

Pora na wnioski. Wywody Nycza unaocznily ponownie trudności, jakie napotyka przeszczepiony do refleksji o literaturze i do uprawianej tu teorii dyskursu pozytywistyczno-strukturalistyczny, występujący w odkurzonym przebraniu „poststrukturalizmu”, zagrożony wywrotowymi, nicującymi go ideami dekonstrukcjonizmu i postmodernizmu. Dyskurs ten nie jest w stanie urzeczywistnić własnych postulatów teoretycznych i badawczych na niwie poznania, nie jest też zdolny wchłonąć, przyswoić sobie i przetrwać krańcowo odmiennej logiki i problematyki wprowadzonych do refleksji o literaturze przez prądy nowsze. Zwraca się on nerwowo do „starego” po to, by uwięzić w nim „nowe”, do tego ostatniego zaś — by ożywić martwiejącą przeszłość, dokonać jej restauracji. Logika restauracji i logika inkorporacji określają pragmatyczne aspekty tego dyskursu.

Rzecz charakterystyczna, „ześlizguje się” on nieustannie, mimo że nie leżało to zapewne w intencjach Nycza, w stronę praktyki społecznej, która — ona jedyna — byłaby w mocy uzupełnić ubytki i wyrównać straty poniesione tam, gdzie aspiracje tego dyskursu okazały się

ponad aktualne możliwości i siły. To bowiem, co w swojej rozprawie o *Teorii interpretacji* proponuje Nycz, sprowadza się faktycznie do dwóch rzeczy: do postulatu ustabilizowania znaczeń i do ograniczenia pluralizmu interpretacji. Oba te żądania mają jednak wyraźny podtekst społeczny i sytuują, by tak rzec, metafizykę na pograniczu polityki (w szerokim rozumieniu tej ostatniej, jako sztuki uzyskiwania władzy i dysponowania nią).

Jeśli bowiem oba te postulaty traktować serio — inaczej po cóż by je zgłaszać? — to ich realizacja jest niemożliwa bez ingerencji zinstytucjonalizowanego przymusu i kontroli. Nikt dobrowolnie nie wyrzeka się prawa do swobodnego kształtowania znaczeń czytanych przez siebie teksów (do tego zaś praktycznie sprowadzałyby się postulowane „ograniczenie pluralizmu”). Nikt też chętnie, sam z siebie nie ma powodu do rezygnacji z poszukiwania znaczeń nowych lub do rewizji starych — po to, by utrzymać ład stabilizacji (taka z kolei byłaby praktyczna konsekwencja hasła „ustabilizowania znaczeń”). Przedłożony przez Nycza plan Regulacji Sposobu Czytania i Interpretowania Tekstów — niewątpliwie szlachetny w intencjach, przewidujący w sferze „niejednoznaczności” pewne (niestety, ograniczone!) swobody dla czytelników — wymagałby jednak w celu urzeczywistnienia go powołania czegoś w rodzaju policyjnego Wydziału Interpretacji. Czy jest to realne? — Wypada w to wątpić. Powtórzmy jednak raz jeszcze (m.in. po to, by uniknąć posądzenia o szyderstwo), iż intencje Nycza są szlachetne. Jedyne zarzut, jaki ewentualnie można by wysnuć z tych uwag, to to, iż intencje te nie liczą się ze skutkami wcielania ich w życie. Realizacja programu „stabilizowania znaczeń” — będącego reakcją na ich nadprodukcję — zakłada przecież przedkładanie i utrwalanie jednych, utracanie innych. Nieuchronnie nasuwa się pytanie, „czyje” to znaczenia miałyby być preferowane, „czyje” zaś utracane. Dylemat wyboru znaczeń jest w istocie nierozstrzygalny. I teoria, i praktyka interpretacji są tu bezradne.

Być może powyższe względy są dla Nycza podrzędne, rzecz bowiem dotyczy interpretacji jako takiej, nie zaś następstw wysuniętych w tym przedmiocie propozycji. Jednak i tutaj, w płaszczyźnie teoretycznej, dylemat roztrząsany przez Nycza pozostaje nierozstrzygnięty, a ponadto wydaje się wątpliwe, czy w ogóle jest rozstrzygalny. W dylemacie „albo tylko jedna interpretacja tekstu jest poprawna, albo wszystkie są sobie równe” węzłową rolę odgrywa znaczenie, jakie nadaje się słowu „interpretować”. Otóż w obu członach dysjunkcji to samo słowo „interpretować” znaczy coś innego, odsyła do innych operacji i do innego referenta. Upodabnia się do homonimu. Roztrząsany dramatycznie przez Nycza dylemat „albo to”, „albo tamto” zestawia rzeczy ze sobą niewspółmierne, źle do siebie dobrane, nieostre co do zakresu i mętne co do treści. Dylemat jest nierozstrzygalny, ponieważ jest pozorny, „demagogiczny”, niemerytoryczny. Wyrażenia „poprawnie zinterpretować tekst

w jeden i tylko jeden sposób” oraz „interpretacja dobra (zła), jak jakakolwiek inna” nie spełniają warunków sensowności na tle zebranej już wiedzy o interpretacji oraz doświadczeń, do jakich można się tu odwoływać. Dramatyczne, podjęte przez Nycza próby stonowania skrajności i znalezienia *modus vivendi* między nimi kończą się oczywistym fiaskiem, gdyż źle je zaadresowano. Rzecz bowiem w tym, iż jeden z członów tego pseudodylematu akcentuje fakt, że każda interpretacja jest interpretacją czegoś, zaś drugi — że jest ona interpretacją czyjś. Pseudodylemat sztucznie rozdziela i przeciwstawia sobie tu sobie coś, co z natury rzeczy występuje łącznie. Problem zatem okazał się pozorny, patos dyskursu fałszywy, odpowiedzi — chybione. Próba wyparcia metafizyki negatywnej przez metafizykę pozytywną zawiodła. Ta druga, mimo zgłaszanych roszczeń do pełni, prawdy, obecności, kompromisu itd., okazała się równie pusta, jak ta pierwsza.